Rok VIII. Dnia 10 marca 1935 r. Nr. 5.



PISMO MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ Wychodzi 10-go i 25-go każdego miesiąca

NA WODACH OCEANU WIELKIEGO.

Na dalekich wodach Oceanu Wielkiego kołysze się mały jachcik — „Zjawa II" — dźwigający dumnie polską flagę. Pruje zielone fale, zwieńczone kryzą białej piany, sunąc z Ekwadoru ku wyspom Galapagos. A może już nawet przybił do któregoś portu tych wysp ekwadorskich i szykuje się do dalszej drogi na zachód. Któż to wie? — listy przecież idą stamtąd tak długo, czasem giną nawet, jak list poprzedni, o którym pisze nam dziś druh Wagner.

W ostatniej korespondencji pisaliśmy o tem, jak to holowany przez „Dar Pomorza", który również żagluje po dalekich oceanach, Wagner przepłynął na swej nowej łodzi „Zjawa II" Kanał Panamski, oddalił się od górnych brzegów Panamy i ruszył w dalszą drogę.

O drodze tej pisze nam w liście:

Esmeraldas, 13. I. 35 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W poprzednim liście, wysłanym z wyspy Taboga*), opisałem prawie cały przebieg wydarzeń aż do wykończenia jachtu a także o wielkiej pomocy „Daru Pomorza" — o czem pisałem w liście z Balbosa — i o powodach, ze względu których zabrałem z sobą w podróż do Australji (nie dalej) Sandomierzanina Józefa Pawlicę, którego poznałem w Colon. A teraz pragnę zapoznać Sz. Pana z początkiem podróży.

Dnia 7. XII. 34 r., po skończonej reperacji steru, opuściłem Taboga, udając się w kierunku południowym, by tam, w bliskości równika, dosięgnąć połdn.-wsch. passatu, który mię zaniesie aż do Australji. Plan podróży do Australji ułożyłem w ten sposób: Balboa — Esmeraldas — Galapagos — Markizy — Tahiti — Samoa — Nowa Kaledonja — Sydney. Lecz porobiłem też i pewne wyjątki między Esmeraldas — Galapagos i Galapagos — Markizy. A więc: 1. jeżeli będą panowały długo wiatry zachodnie, to minę Galapagos daleko na południe, 2. gdy z Galapagos na Markizy będą przeważały wiatry z rufy (pełny wiatr, fordewind), to zmienię kurs na więcej oddalony arch. Tuamotu, aby mieć ¾ wiatru, co jest najodpowiedniejsze dla kecza. Więc kierując się podług tak nakreślonego planu, po opuszczeniu Taboga wziąłem kurs S, by zawinąć do Esmeraldas (Ekwador). Pogoda była i wiatr też był, lecz słaby. Jednakowoż w nocy zauważyłem światło latarni na wyspach Perłowych (Pearl Islands) a 8-go w południe przylądek Malo był dokładnie na W. 9-go żegluga odbywała się już w warunkach, jakie zwykle są o tej porze w zatoce Panamskiej. Cały dzień deszcze i cisza naprzemian i bezwładne, uciążliwe dla załogi, kołysanie się statku na dużej fali. Szczęściem było, że o północy przyszedł rzeźki wiatr z WSW i można było odpocząć cokolwiek. Pomimo tego chmury szły z W. ciężkie, nisko wiszące. Nie wróżyło to dobrej pogody, lecz pocieszałem się myślą, że przynajmniej wiatr przyjdzie z dobrego kierunku. Nadchodząca niepogoda długo kazała czekać na siebie, bo dopiero 11-go o godz. 5-tej rano zerwał się wiatr. Strzaskał mi on 5 m górnej części grot-masztu, który wraz z żaglem wpadł do wody. Fala była tak duża, a wiatr tak silny, że naprawdę nie było wtedy dużo do zrobienia. Ograniczyłem się tylko do wyciągnięcia żagla z wody i do uporządkowania gmatwaniny lin. Gdy się rozwidniło na dobre, zauważyłem, że główna wanta na prawej burcie nie trzyma z powodu ułamania masztu.

*) List ten do Redakcji nie doszedł.

(Dokończenie na str. 54.)

DOKĄD ZDĄŻAMY

Sieniawska przełęcz. Nawet nie patrząc na krajobraz, poznałem z przyśpieszonego biegu pociągu, że ją mijamy. Podchodzę ku oknu wagonu, by — jak zwykle — zobaczyć dolinę nowotarską i spiętrzone na horyzoncie Tatry. Na zachodzie dogasały różowe zorze, a na ich tle jedyna, rozwichrzona w dziwaczne języki, sina chmura przypominała swym kształtem olbrzymią atramentnicę o płonącem oku, przebłyskującem w jednem miejscu zorzy. Na najbliższych, wielkich płaszczyznach śniegu grały delikatne barwy rozjaśnionego szafiru i przyćmionego fioletu, zaś szczerbata linja Tatr wisiała nad wyciągniętą doliną zwałem tego błękitu, który dzisiaj podziwiałem na tatrzańskich krajobrazach Stanisława Witkiewicza w Muzeum Narodowem w Krakowie.

Powesielałem. Zdawało mi się, że coś w mej duszy odezwało się radosnym okrzykiem juhaskim. Jutro przypnę narty i pogonię na jakąś przełęcz, by się zachłysnąć powietrzem, nagrzać słońcem i przywitać się z górami, które ostatni raz widziałem w pełnej, rozkwitłej urodzie lata.

* * *

Rano sypał gęsty śnieg, ale koło 9-tej rozjaśniły się chmury, potem pękły na linji słońca i rozbiły się na niezliczone strzępy, wałęsające się w górnym wietrze po bladoniebieskim firmamencie. Smreki, przywalone potężną okiścią, tkwią nieruchomo i oczekują cierpliwie wiosennego wyzwolenia. Gdzieś głęboko zagrzebany w śniegu strumień szumi i bulgoce. Słońce rozpala na śniegu tęczowe brylanciki. W głębi doliny wyłaniają się potężne zarysy Czerwonych Wierchów, wyzłocone w swym środku refleksami bronzowej chmury, obrzeżone jakby srebrną lamą na grzbietach, których dopadły promienie. Szczyty dymią, jak wulkany, podrywanym przez wiatr puchem śnieżnym. Maszerujący za mną malarz K. porykuje z rozpaczy, że się dał wziąć na czystą wycieczkę narciarską. Tymczasem słońce i chmury — jak dwaj genjalni wirtuozi — wyciągnęły swe niewidzialne dłonie nad skalnemi Wierchami, lasem, pokrywami śnieżnemi, grając wielką, nadludzką symfonję zimowych barw...

Na Hali Miętusiej przywitał mię okrzyk radości: „Czuwaj"! Gdzie teraz tego zewu się nie słyszy? — To druhna Miła, Komendantka Chorągwi Śląskiej, oraz dh. Marja — zawsze „Na Tropie". Już od tygodnia wdrapują się codziennie to na przełęcz jakąś, to na szczyt. Służy im ta włóczęga zimowa, jak świadczą ogorzałe twarze i wesołe, niebieskie oczy.

Słońce wsparło się o południową ścianę nędznego schroniska. Rozsiedliśmy się na niskich, drewnianych kozłach, i zapatrzeni w piękno „opowieści zimowej", snującej się od Giewontu aż po Tylkowe Kominy, gwarzyliśmy beztrosko o wszystkiem i o niczem. Znienacka Druhna Marja rzuciła pytanie:

— „Na czem Druh Przewodniczący spędza wieczory? Możnaby je wyzyskać i napisać zdawna zapowiedzianą broszurę o harcerstwie".

Słowa te padły, jak zimna kropla z topniejącego w słońcu sopla na rozgrzane marzeniem czoło.

Lecąc na nartach przez Miętusią wdół ku dolinie kościeliskiej, myślałem już nie o sypiącej się na mnie okiści smreków i brylantach, tak hojnie rozsypanych po śniegu, a o broszurze, którą jednak trzeba będzie, — jeżeli nie napisać, to przynajmniej zacząć.



W dniu 19 marca obchodzi imieniny pierwszy Marszałek Polski, pierwszy Protektor Związku Harcerstwa Polskiego — Józef Piłsudski.

W dniu tym Polska składa hołd Marszałkowi. I my — harcerze — weźmiemy udział w uroczystościach 19 marca, ale nie będzie to udział bierny. Musi przepoić nas w tym dniu świadomość, że okrzyki i manifestacje, poza któremi nie będzie się kryła, mocna wola wytężonej i świadomej pracy dla Polski będą pustym frazesem. Tylko dobry czyn dla Polski, w dniu 19 marca podjęty, a wpleciony w łańcuch pracy całego życia Polsce oddanego, godny jest uczcić Imieniny Marszałka.

CZĘŚĆ I.

O harcerzach, którzy sięgnęli po zaszczytne miano żołnierzy niepodległości.

Pytanie, na które chciałbym w swych następnych, niefrasobliwych gawędach odpowiedzieć, polega na tem, do czego zmierza dzisiejsze harcerstwo i przy pomocy jakich, sobie właściwych środków. Zanim jednak do tego zagadnienia przystąpię, dobrze będzie może oglądnąć się wstecz i uchwycić najgłębszy sens naszego ruchu, systemu i organizacji u samych jego początków, na tle niezwykłych, naprawdę romantycznych warunków, wśród jakich się urodził. Pozwoli nam to równocześnie wydobyć odrazu tę nawskróś polską, oryginalną melodję, która ostała się — tylko w zmienionej postaci — aż do chwili obecnej.

Lata około 1910 r. były okresem niezwykłego napięcia ideowego w Polsce. Miałem wtedy lat 20 i całą swą duszą tkwiłem w konspiracjach, dyskusjach niepodległościowych i w robocie organizacyjnej drużyn strzeleckich. Na horyzoncie idącej ku nam wolnej Polski, zarysowały się w sposób wyraźny: koncepcja walki czynnej o niepodległość i dwie, olbrzymie w swych wymiarach postacie: Stanisława Wyspiańskiego i Józefa Piłsudskiego. W rozbudzoną piórem Sienkiewicza tęsknotę młodych serc za czynnem bohaterstwem uderzyły — jak wstrząsający ale ożywczy prąd — tragedja Wesela i wołanie o Polskę realną, zdobytą czynem w Wyzwoleniu. Padały hasła, zrywające z dusz okowy upadlającego pozytywizmu. Rozpalano przed nami nowe świty, biorąc dla nich blaski ze zgasłych zórz legjonów Dąbrowskiego, nocy listopadowych i styczniowych. Rok 1905 był jak błyskawica sumienia narodowego, rozpalona ręką przyszłego wodza i twórcy państwa. Na ulicach Warszawy — na stokach Cytadeli padają nowi, nie ze szlachty, a z warstwy robotniczej pochodzący żołnierze niepodległości. Nawiązuje się przerwaną od roku 1863 nić tej wielkiej prawdy, że Polski się nie wypracuje,

ani nie wymodli, ale, że trzeba o nią walczyć z bronią w ręku. Mówiono nam, że trzeba tępić niewolnictwo dusz, płynące ze słabości i przyzwyczajenia do wędzidła, a cenić honor, sławę i wolność więcej niż spokój własny, życie i dobrobyt materjalny. I d e a w a l k i o n i e p o d l e g ł o ś ć stawała się tym ośrodkiem, około którego krystalizowały się nietylko nasze marzenia i uczucia, ale i uczciwie pomyślane i podejmowane przygotowania, mające nas przysposobić do urzeczywistnienia haseł w walce na polu przyszłych bitew. Tak zrodziły się drużyny strzeleckie, Strzelec — zawiązki słynnych legjonów. P r a w d a i u c z c i w o ś ć leżały u podstaw naszych organizacyj niepodległościowych, ta prawda i uczciwość, które żądają, by hasła stwierdzać czynem, by między wiarą i uczynkami nie było rozdźwięku, by nietylko śnić o szpadzie, ale wyrąbać nią nową, wolną przyszłość narodu. I dlatego w naszym romantyźmie — co zdawał się mierzyć siły na zamiary — nie było cienia fałszu i zakłamania, nie było deklamacji i fanfarowania, nie było obrazków na pokaz. W i e r z y l i ś m y s ł o w o m p r z y s z ł e g o b r y g a d j e r a i m a r s z a ł k a, że na polu walki zbrojnej trzeba odnaleźć zaginioną w odmętach dziejów Polskę, tylko nie tę, ukrzyżowaną i cierpiącą za własne i cudze grzechy, ale Polskę realną, z krwi i kości, cieszącą się wolnością, własnym rządem, decydującą na równi z innemi państwami o tem, co się ma dziać w świecie. Zwierały się szeregi młodzieży. Coraz głośniej niosły się pieśni żołnierskie, coraz mocniej zarysowywała się sylwetka wodza. K a r n o ś ć i d y s c y p l i n a, jako wypływ imperatywu wewnętrznego ochotniczych żołnierzy, miały zapanować nad zwichrzonym indywidualizmem polskich dusz. Gorące to były czasy tem więcej, że w atmosferze całego świata czuć było napięcie zbliżającej się zawieruchy dziejowej; tej wielkiej wojny narodów, o którą modlił się jeszcze Mickiewicz, a w której nie powinno było braknąć błysku polskiej szabli i bagnetu.

W takich właśnie okolicznościach przyszło na świat polskie harcerstwo. Geneza jego łączy się w sposób nierozerwalny z ruchem niepodległościowym i obozem walki czynnej. Nie chodzi tu bowiem o taką lub inną drużynę, o taki lub inny artykuł, które mogły powstawać przypadkowo, ale o zapoczątkowanie świadomie i z wyraźnie określonych celów organizacji harcerskiej. A przecież ten fakt zaszedł w roku 1910 i to w bardzo ciekawych i nawskróś romantycznych warunkach. Po ostatnich publikacjach podpułkownika Henryka Bagińskiego i lapidarnej relacji generała Norwid-Neugebauera nie ulega dzisiaj najmniejszej wątpliwości, że idea polskiego skautingu zrodziła się na terenie niepodległościowej organizacji „Zarzewie" i że w drodze zręcznie pomyślanych pociągnięć przeszczepiona została organizacja na grunt lwowskiego Sokoła. Wynikła ona z następujących rozważań — ujętych we wspomnianej relacji Gen. Neugebauera: „Organizacja Młodzieży Narodowo-Niepodległościowej" — na naczelnem miejscu swego programu postawiła dwie obowiązujące zasady: 1. dla młodzieży szkół średnich przymusowy nakaz wychowania fizycznego, 2. dla młodzieży akademickiej i robotniczej wyszkolenia wojskowego przez ukończenie 3 szkół: rekruckiej, podoficerskiej i podchorążych. Był to konsekwentny wynik idei, iż niepodległość można zdobyć jedynie siłą fizyczną, a zrealizować przez stworzenie tajnego rządu „tajnej armji". Wyrazem tego był szereg artykułów, umieszczonych w organie Młodzieży Narodowo-Niepodległościowej „Zarzewie".

Nie będę wchodził w szczegóły tworzenia konspiracyjnych „oddziałów ćwiczebnych" i przekształcenia ich w październiku r. 1911 na jawne patrole skautowe w Małopolsce, oraz o akcji organizacyjnej na terenie dawnego Królestwa Kongresowego i Poznańskiego, akcji, wychodzącej z tego samego ideowego ugrupowania; opisał to bowiem zarówno wspomniany wyżej podpułk. Bagiński, jak i p. Zachert (w „Zarzewiu" w r. 1911). — Mnie chodzi tu tylko o stwierdzenie faktu, że Polskie harcerstwo wyrosło na gruncie poczynań i haseł walki czynnej o niepodległość i, że w tym obozie właśnie należy szukać jego rodowodu. Przecież pierwsza książka Andrzeja Małkowskiego „Scouting jako system wychowania młodzieży na podstawie dzieła Generała Baden Powella" z r. 1911 w tej właśnie atmosferze się narodziła.

Moment ten opisuje Gen. Norwid Neugebauer w następujących słowach: *„Dowódcą plutonu w Szkole podoficerskiej „Armji polskiej" był elew tej szkoły Andrzej Małkowski. Okazało się, iż włada on językiem angielskim. Na skutek pewnego przekroczenia swoich obowiązków dowódcy plutonu przy raporcie u Komendanta Szkoły Podoficerskiej Mieczysława Neugebauera otrzymał polecenie przetłómaczenia wspomnianych 3 rozdziałów (Scouting for Boys — B. Powella).*

Przejrzawszy książkę, tak się zapalił do jej treści, iż zgłosił ochotę przetłumaczenia całości. Podręcznik wydany w r. 1911 nie był bezpośredniem tłumaczeniem książki B. Powella, lecz niektóre działy z o s t a ł y p r z e p r a c o w a n e z i n s t r u k t o r a m i s z k ó ł w o j s k o w y c h d r u ż y n s t r z e l e c k i c h, *a ustępy organizacyjne ułożone przez A. Małkowskiego, według wzorów i doświadczeń, zebranych w ciągu r. 1909 — 1911 pracy w oddziałach ćwiczebnych i drużynach harcerskich Sokoła".*

(C. d. n.)

Ks. h. Grażyński
przewodniczący ZHP.

Budujemy własny dom w Warszawie.

— Akcja budowy Domu Harcerstwa im. Michaliny Mościckiej została przyjęta w terenie przez chorągwie i drużyny bardzo przychylnie.

Wiele Chorągwi przysłało zamówienia na mareczki i znaczki na sumę wyższą od przewidzianej rozdzielnikiem. Ilość wydrukowanych mareczek i nalepek okazała się niewystarczająca tak, iż drukowany jest obecnie nakład drugi. Początkowa ilość obstalowanych znaczków okazała się też za mała i zamówienie powiększono o dalsze 5000 szt.

— Do konkursu na projekt znaczka komitetu stanęło kilkunastu artystów-harcerzy, którzy złożyli przeszło 40 wzorów. Wybrany został projekt Druha Tadeusza Fijałkowskiego — Drużynowego 40 WDH.

— Dnia 1 marca odbędzie się przetarg zamknięty, do którego powołano 10 firm, poczem rozpocznie się budowa Domu tak, aby stanął on pod dachem w dniu otwarcia zlotu Narodowego.

— Komitet budowy liczy, iż akcja zbiórkowa na terenie harcerstwa do wakacyj roku bieżącego winna przynieść 25.000 zł. Dotychczas w teren rozesłano mareczek i nalepek na sumę 20.000 zł.

Ostatnio wpłynęły następujące dary: Naczelnik Głównej Kwatery Harcerzy A. Olbromski 25 zł, hm. Zakrzewski St. złożył 10 zł i wzywa do złożenia analogicznej ofiary hm. hm. Koczyka, Jankowskiego Czesława, Rosentala Antoniego. Hm. Ławnicki Jan złożył 5 zł i wzywa do złożenia: hm. W. Sosnowskiego z Warszawy, phm. Szulca z Bydgoszczy, hm. Łętowskiego z Łodzi. Phm. Smosarski złożył 5 zł i wzywa do złożenia podobnej ofiary: hm. Piekarskiego, phm. Derengowskiego, phm. Mittaka.

Nasz łańcuch może się skończyć dopiero z chwilą, gdy dom stanie. Dawniej wyzwanych prosimy o odpowiedź.

PRZYGODA ALBATROSA.

(z ang. E. sk.) (Dokończenie.)

— Załącz aparat — krzyknął Joe. — Nadawaj, że francuski statek rybacki KX-173, zerwał nam niewód. Że nie miał świateł. Że ma ukrytą armatę i że —

Albatros zatrząsł się i na rufie nastąpił wybuch. Zduszony okrzyk wydobył się spod pokładu.

— i że zaczęli strzelać — dokończył spokojnie Johnny.

— W porządku, Joe, już się robi. — Zasiadł do aparatu i położył palce na klucz.

Joe wypadł na pokład. Na Albatrosie była śmierć. Kula z armaty francuskich zbirów przebiła pokład na rufie. W mdłem świetle zobaczył pokręcone ciało. Potem słyszał głos Młota:

— Wszyscy pod pokład. Precz wszyscy!

Maszyny zadudniały głucho. Albatros starał się uciec z obstrzału. Wtedy z francuskiego okrętu wybuchnął znów jasny blask i przeraźliwy gwizd zmieszał się z krzykiem Młota: — pod pokład! Poczem nastąpił grzmot eksplozji, drzazgi świsnęły przez powietrze, zawoniało gryzącym dymem i przez chwilę była śmiertelna cisza. Kula trafiła Albatrosa w środek kadłuba, gdzieś pod pokład.

Gdzie trafiła, wiedział najlepiej radjooperator Johnny Simpson. Właśnie wystukiwał słowa — KX-173 ma ukrytą armatę. Zaczęli strzelać — gdy biały płomień liznął go w podbródek, szkatuła poszła w drzazgi a chłopiec runął nieprzytomny w kąt kabiny. Przyszedł do siebie pod wpływem zimnej wody, która go zalała. Ale nie był to czyn jakiegoś dobrego kolegi. Zalewało go morze. Z białemi płomieniami w oczach i hukiem w głowie, zerwał się na nogi i zatoczył ku wyjściu. W drzwiach zderzył się z Joe'm, który biegł zobaczyć, co się z nim dzieje.

— Jestem w porządku, Joe. Kula rozwaliła aparat i wybiła dziure w kadłubie; trzeba szybko ratować. Pijemy!

Okręt nachylił się silnie. Widoczne było, że Albatros jest skończony nieodwołalnie. Statek francuski zaczął wolno odpływać. Młot patrzył za nim ponuro, a gdy usłyszał cichy, przenikliwy śmiech, mruknął pod nosem:

— Znajdę was nawet na tamtym świecie!

Albatros wstrząsnął się gwałtownie.

— Zdaje się, że będziemy mieć ciężką drogę — zwrócił się skiper do nadchodzącego Johnny Palmera.

— Tak się zdaje, że ma pan rację, skiperze. Żeby jeszcze nie ten brzydki wiatr! Właśnie chciałem wystawić sygnał „wszystkie statki do portu“, gdy nadbiegł Joe i dał mi inne zlecenie. W każdym razie, zdaje się, że przynajmniej jeden ze statków nie zawinie do portu“.

Albatros znów zadrżał.

Spuścić łodzie!

Spod pokładu wybiegł Jack Macdonald. Na karku targał mu się luźnie zwieszony ręcznik do wycierania potu. Wpadł do budki sterniczej.

— Skiperze, tak wygląda jakby miły Albatros miał ochotę zostać łodzią podwodną. Brodzimy już tam pod spodem w wodzie do połowy łydek, a wznosi się szybko. Jeszcze z pół godziny, a zaleje piece.



— No, w porządku Jack, róbcie co możecie.

Maszynista popędził spowrotem a Briggs zwrócił się do towarzysza:

— No to jeszcze 30 minut jazdy. A coś mi się widzi po tem, jak zapadamy, że nawet i tyle nie. Właduj w każdym razie tych dwu rannych do łodzi. Zabitego też. Weź z sobą Petersa. Ja pojadę z resztą załogi drugą łodzią — jak już będzie czas.

Agonja Albatrosa istotnie nie trwała nawet pół godziny. Już głęboko zanurzony był w wzburzonem morzu, gdy kolosalna fala runęła na dziób, zalała pokład, zakotłowała dokoła budki sterniczej, wszystko znikło pod wodą na chwilę. Gdy opadła, okazało się, że zniosła zabitego marynarza i jednego z ludzi.

Gęsta chmura dymu wywaliła się z pod pokładu, co świadczyło o tem, że maszynownia zalana. Albatros bezwładnie miotał się po falach z pokładem nieomal na linji wody. Z kotłowni wybiegli maszynista i palacz:

— Tonie! — krzyknął Macdonald.

Joe umieścił już w przedniej łodzi obu rannych i na komendę Młota razem z Petersem opuścili łódź. Fala chwyciła łupę, podniosła w górę i patrzącym z pokładu wydało się, że oto w tej sekundzie wyrżnie nią o tonący statek i rozwali w drzazgi. Ale Peters i Joe zanurzyli wiosła w szczyt fali i spadli w mrok.

Druga potopowa fala zalała pokład, omal że zmywając skipera. Trzymając się ucha luki, leżał wpółżywy na pokładzie, sapiąc i plując. Ktoś przywarł do niego i ryczał mu w mokre ucho. To Jack. Czego chce Jack?

— Toniemy, panie. Uciekajmy drugą łódką nim ją zerwie. Już wszyscy czekają. Młocie, uciekajmy!

Morze już myło pokład, gdy dobili do drugiej łodzi ratunkowej. Nawet Młot już stracił wszelką nadzieję uratowania statku. Wszedł ostatni. Porwani falą i wiosłując jak szaleni uciekali od niknącego w wirze wraku Albatrosa.

Z początku zdawało się wszystkim, że ani pięciu minut nie utrzymają się w tej łódeczce na ogromie rozszalałej wody. Dwukrotnie już zalało ich tak straszliwie, że ledwo nastarczyli z wylewaniem wody. Jakoś jednak utrzymali się. Gdy się na moment uspokoiło, Jack musiał coś powiedzieć:

— Popatrz, popatrz, jeszcześmy się gotowi wykaraskać z tego piekła.

Po długiej chwili odezwał się Młot.

— Sami nie damy rady, a na wodach niema nikogo. Cała flota odeszła do portu a ci Francuzi wiedzą o tem i są spokojni też gdzieś w porcie. Nieboszczyki nie opowiadają historyjek. Gdyby wiedzieli, że potrafimy dobić do portu, byliby nas wykończyli dokładniej.

— Przecież Johnny wysłał depeszę.

— Wysyłał ją akurat, gdy mu kula rozbiła aparat w proch. Nie wiadomo, czy coś z tego wyszło. Od Johnny'ego nic się nie można było dowiedzieć, a teraz jest w drugiej łodzi. Jak go ładowali, to i śmiał się i płakał naprzemian. Musiał dostać odłamkiem po łbie.

Ale Jack nie mógł usiedzieć:

— Jak pan myśli, skiperze, daleko może być do brzegu?

Młot uśmiechnął się. — A, będzie ze trzydzieści mil do wygodnego łóżka. Pewnie że powoli będziemy się pchać. Byle tylko nie zmylić kierunku i żeby nas nie połknęło po drodze.

Dla siebie zaś pomyślał Młot, że nawet gdyby ich fala nie zalała i trzymali dobry kierunek, to nie starczy im sił do walki z miotającą się wodą, wiosła im wypadną i pójdą na obiad. Tylko, że tym razem, to nie oni będą jedli rybki, lecz przeciwnie. W pewnym momencie doleciał go dziwny, krzykliwy głos, jakby okrętowej syreny. Nastawił uszu.

— Muszę być dobrze zmęczony. Skąd tu okręt, pomyślał; przesłyszało mi się.

Ale nie, znów ten dziwny głos. Syrena to nie jest w każdym razie. Jakby rój szerszeni. Coraz większy i głośniejszy. Jakby aeroplan. Aeroplan?

Skipper Briggs tak gwałtownie zerwał się na nogi, że omal nie wypadł z łodzi. Chwycił kogoś za głowę i wlepił oczy w czerń nieba. Nie widać nic. Ale grzmot machiny był coraz wyraźniejszy. Teraz już wszyscy byli pewni, że samolot krąży ponad nimi. Młot krzyczał podniecony:

— Szukają nas i nie widzą, nie mogą zobaczyć! Są tuż nad nami.

Chwycił kawałek naoliwionego jedwabiu, skurczył się w ukryciu dzioba i potarł jedną ze swych cennych, nieprzemakalnych zapałek. Kilka sekund błyszczało światełko, zanim zerwał je wiatr. Zobaczyli ich jednak, bo huk maszyny wzrósł przerażająco; jakby jechali im po głowach. Potem wybuchnęło ogromne, białe, jaskrawe światło i zjeżdżało szybko, uwieszone u małego spadochronu. Nad nim uwidoczniło się podwozie hydroplanu. Zaczęli krzyczeć i powiewać czem mogli, jak szaleni. Zdawało się, jakby ktoś z góry z gondoli też dawał znaki. Byli ocaleni. Hydroplan pokręcił się dokoła, wywodował tuż koło nich i, gdy podjechali, zabrał wszystkich do ogromnej kabiny. Młot wyjaśniał oficerowi sytuację.

— A co z resztą załogi?

— Jechali drugą łodzią z dwoma rannymi. Musimy ich szukać.

— Oh, oni już są w porządku — zaśmiał się oficer. Właśnie miałem de-

peszę od krążownika Towarzystwa Rybackiego, który wyszedł na poszukiwanie Albatrosa. My właściwie mieliśmy znaleźć statek francuski. Krążownik wyłowił waszą drugą łódź i tam im powiedzieli, że wy gdzieś jesteście na wodzie, zadepeszowali więc do nas, żebyśmy się rozglądnęli. No — dobrze, że się was jakoś wynalazło. Pewnie chcielibyście się teraz jak najszybciej dostać do domu, ale musicie pozwolić nam rozglądnąć się jeszcze za tamtym uzbrojonym statkiem. Trzeba znaleźć tych korsarzy.

— Naturalnie — huknął Młot, szukamy choćby i tydzień.

Obeszło się jednak bez tygodnia. W jakieś pół godziny później zasygnalizował obserwator, że widzi statek rybacki. W półmroku nadchodzącego dnia poznał Młot swych prześladowców. Statek wolno, jakby uszkodzony posuwał się ku francuskiemu wybrzeżu. Opadli możliwie nisko i z wysokości 500 jardów dali sygnał, żeby zatrzymali. Nie było ani odpowiedzi, ani też statek nie zatrzymywał się. Oficer uśmiechnął się do Młota:

— Czyżby nie rozumieli dobrze po angielsku? Trzeba im powiedzieć wyraźniej.

Samolot spikował i runął wprost na statek. Tuż nad dziobem obserwator szarpnął jedną z kontrolek. Coś runęło wdół i kolosalny wodotrysk wysadził ogromnym słupem tuż przed kadłubem statku. Oficer znów się roześmiał.

— To jest naogół przekonywujące. Ale jak się będą upierać, następną pigułę wsadzimy im w środek pokładu.

Statek jednak był przekonany. Zatrzymał się a hydroplan wywodował tuż obok niego. Oficer wyszedł na pokład a za nim wdrapał się Briggs, choć go o to nikt nie prosił. Poszli razem do budki sterniczej zażądać wyjaśnień od łajdackiego skipera. Nie było go tam jednak. Przy kole stał prosty majtek. Oficer rozgadał się z nim, a tymczasem Młot zniknął pod pokładem. Gdy w kilka minut potem oficer zeszedł na pokład, natknął się na Młota:

— No, spotkał pan gdzie skipera? — spytał.

— Tam w kabinie jest jeszcze trochę skipera — poinformował Młot, wycierając ogromną łapą pot z czoła.

K o n i e c.

Wieści zlotowe.

Marszałek Józef Piłsudski Protektorem Zlotu.

Marszałek Józef Piłsudski przyjął protektorat nad naszym Jubileuszowym Zlotem w Spale.

Harcerze budują urządzenia zlotowe w Spale.

Główna Kwatera Harcerzy w porozumieniu z Zarządem Głównym S. O. M. przystąpiła do organizacji Ośrodka Pracy Harcerzy w Spale.

Ośrodek ten, obliczony na 200 harcerzy, będzie miał za zadanie przygotowanie terenu i wykonanie szeregu inwestycyj niezbędnych tam w związku z mającym się odbyć w lipcu rb. Jubileuszowym Zlotem Harcerstwa Polskiego. Bezrobotni harcerze, ubiegający się o przyjęcie do jednego z dwóch harcerskich ośrodków pracy (pierwszy już od szeregu miesięcy pracuje na Śląsku) winni niezwłocznie nadesłać swe zgłoszenia do swojej Komendy Chorągwi Harcerzy.

Wystawa Harcerek.

Wszystkie Komendy Chorągwi Harcerek przystąpiły już do opracowywania materjałów do wystawy, jaka odbędzie się na Zlocie.

W związku z jubileuszowym charakterem Zlotu wystawa ma zobrazować istotę ruchu harcerskiego w rozwoju historycznym. Wystawa ma dalej przedstawiać pracę harcerską, wynikającą ze stosowania prawa w życiu drużyny i wychowywanych przez nią dziewcząt, które w myśl tego prawa: 1. współżyją zgodnie z przyrodą, 2. niosą chętną pomoc bliźnim i organizują życie społeczne, 3. w każdy dostępny sobie sposób służą Polsce, 4. tworzą świadomą cząstkę ruchu zbratania całego świata, 5. poprzez wszystkie czyny zdążają do Boga.

Wystawa obejmie dwa działy: I. Harcerka na służbie (ilustracja życia harcerskiego), II. Związek Harcerstwa Polskiego w 25-letnim rozwoju.

Najistotniejsza istota zlotu.

Bezwątpienia niezwykle ważną jest sprawą uczczenie przypadającego na rok 1935 jubileuszu dwudziestopięciolecia istnienia Związku Harcerstwa Polskiego. Uczcić można go było w najrozmaitszy sposób, poczynając od uroczystych akademij ,a kończąc na wydaniu jakiegoś dzieła, traktującego o pracach harcerzy w tym okresie. Wybrano jednak coś zupełnie oryginalnego, coś niespotykanego wśród innych organizacyj, a nawet odmiennego od dotychczasowych poczynań skautowych: postanowiono odbyć wielki, trwający aż dwa tygodnie zlot całego harcerstwa, ale odbyć go w swoisty sposób.

Prawie każda organizacja skautowa urządza w podobnych okazjach zloty. I nie w tem leży sedno sprawy. Zlot — to istotnie ładne uczczenie tak ważnej sprawy, jak dwudziestopięciolecie. Zjedzie się z całej Polski kilkadziesiąt tysięcy harcerzy i nieco mniej harcerek — ważna i wielka chwila; rozbiją wielotysięczne miasto namiotów — wspaniały i rzadki widok; pokażą wszystkim roześmiane twarze, wiele ciekawych urządzeń obozowych, swoisty tryb życia, niespotykaną atmosferę — wszystko to naprawdę warte jest i zobaczenia i podziwu. Możnaby jeszcze do tego dodać kilka wspaniałych przemówień, jakiś olbrzymi bankiet, przepotężne ognisko, bramę triumfalną w stylu amerykańskim („najwyższa", „najszersza" albo jeszcze przy innym przymiotniku umieścić owo „naj") — i wszystko to odpowiadałoby zamierzeniom i w ten czy inny przyjęty sposób czciłoby ważną rocznicę. Harcerstwo wybrało jednak coś naprawdę niezwykłego, coś, czego jeszcze żadna inna organizacja nie urządzała, a co, jeśli się uda, a uda się napewno — będzie najładniejszem uczczeniem i naprawdę harcerskiem tak ważnego momentu, jak rocznica dwudziestopięciolecia istnienia.

To zamierzenie możnaby streścić w jednem słowie: HARCE. Jednak, choć drukowane dużemi literami, nie mówi ono nam tak wiele, jakby potrzeba było — trzeba je dokładniej omówić, by ta najistotniejsza istota zlotu była naprawdę przez wszystkich, poczynając od komendantów chorągwi, a kończąc na najmłodszym młodziku po przyrzeczeniu, bo tylko tacy będą mogli być na zlocie, zrozumiana.

Otóż każdy zastęp na zlocie, obojętne, czy zlepkowy, czy rdzenny (taki co to istnieje od lat w drużynie), będzie uprawiał harce. Codzień inne, codzień odmienne, a mimo to w dziwny sposób łączące w sobie całość wyrobienia harcerskiego. Poczynając od życzliwości dla innych, poprzez punktualność, zaradność, humor, rzetelność aż do rozmaitego rodzaju wycieczek, tropienia, sygnalizacji, ratownictwa, szkicowania, harcerskiego biegu naprzełaj (proszę nie mylić z podobnem określeniem, spotykanem w lekkiej atletyce, bo harcerski bieg naprzełaj poza nazwą prawie nie ma nic wspólnego z biegiem na wytrzymałość) — wszystko to spotkamy w harcach.

Każdy zastęp zlotowy obowiązany jest w ciągu swego pobytu na zlocie wziąć udział: w dwudniowej wycieczce, połączonej z rozmaitego rodzaju ćwiczeniami, zwanemi w skrócie „podchodami"; w biegu harcerskim, wymagającym nie tyle wiadomości harcerskich, co sprytu i energji, samodzielności w myśleniu i działaniu; w ćwiczeniach z techniki harcerskiej — albo w ćwiczeniach z łączności, o której głośno wśród harcerzy pod mianem sygnalizacji, albo — w ratownictwie, albo, wreszcie, w pionierce, która obejmie rozmaitego rodzaju budowanie rowów strzeleckich, kładek, mostów; no i wreszcie — w rozmaitego rodzaju pokazach harcerskich, słynnych ze względu na swoisty humor i sposób wykonania. Każdego dnia zastęp zlotowy robi co innego. Czas tak zostanie rozłożony, że będzie go dość nietylko na zwykłe obozowanie, lecz i na poważną, rzetelną pracę, jaką będą właśnie owe **harce**.

Harce — to nie egzamin z tego, lub innego działu; harce — to nie zawody, po których zawsze u jednego zostaje uczucie radości, bo zwyciężył, a u pozostałych kilkunastu, czy nawet kilkuset przygnębienie i niezadowolenie; harce — to praktyczne ćwiczenia, takie ćwiczenia, jakie przerabia się na porządnym kursie zastępowych, albo na bardzo, bardzo solidnym obozie jeszcze solidniejszej drużyny.

Harce — to najistotniejsza treść zlotu, bo po tych harcach spodziewamy się znacznego podniesienia techniki harcerskiej w szerokich masach zastępów, gdyż z jednej strony już teraz zmuszają tego zastępowego do porządnego przerabiania materjału ze stopni i sprawności, które będą tematami wszystkich ćwiczeń harcerskich, a z drugiej — na zlocie zastęp będzie nie tylko mógł wykazać się temi umiejętnościami, lecz jeszcze czegoś nowego nauczyć, co mu się przyda w dalszej pracy.

Streśćmy:

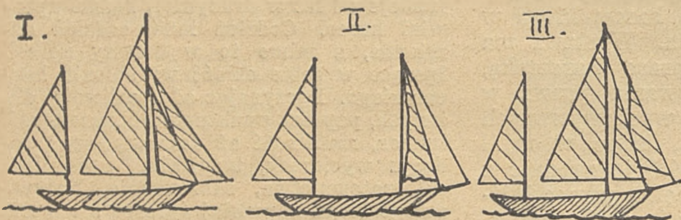
Harce zlotowe — to istota zlotu; to praktyczne, codzienne ćwiczenia; to praca; to nauka; to kurs zastępowych; to solidne przygotowanie się już od tej chwili w każdej drużynie; to mocne posunięcie pracy naprzód.

Oskar Żawrocki.

Na wodach Oceanu Wielkiego.

(Dokończenie ze str. 49.)

Więc pomimo tego, że fale spotężniały, a wiatr się wzmógł tak, że z trudem mogliśmy rozmawiać na pokładzie, musiałem wyleźć na maszt i naprawiać uszkodzenia. I doprawdy, całodzienna praca przy noszeniu dużych ciężarów nie zmęczyłaby mię tak, ile ta 20-minutowa praca na maszcie, który, zataczając duże łuki, od czasu do czasu ulegał potężnym wstrząśnieniom. Późnym wieczorem wiatr ucichł i można było wyciągnąć kliwer. Następnego dnia wiatr był mniejszy, więc znowu wylazłem na maszt i urządziłem tak, by grot można było wciągnąć aż na wysokość pierwszych want.



I. „Zjawa II“ przed burzą, II. po uszkodzeniu, III. po naprawie.

Jednak sytuacja się niebardzo poprawiła, ponieważ statek, mając w ten sposób wyciągnięty grot, nie mógł lawirować pod wiatr, a to było potrzebne, ponieważ wiatr zmienił się na WSW i wiał słabo, przynosząc deszcze. Szczęściem było, że do lądu było 80 mil, lecz znów do Esmeraldas było jeszcze 140 mil i to na S+W. Postanowiłem więc przybić do wyspy Gorgona, oddalonej o 30 mil i w 3 dni później, 15-go, zarzuciłem kotwicę w zacisznem miejscu. Byłem zmęczony. Całą drogę Pawlica chorował na morską chorobę, więc to jest zrozumiałe. Gorgona jest małą górzystą wysepką (przeszło 400 m nad p. m.). Jej połudn.-wschod. wybrzeże jest zasłonięte od wiatrów i fali, więc na niem zastaliśmy parę opuszczonych plantacyj kokosów, bananów i pomarańczy. Zdziwiło nas bardzo, że kilka chat, rozsianych wzdłuż wybrzeża, jest niezamieszkanych i wogóle na wyspie niema żywej duszy. Wytłumaczyłem to sobie tem, że ludzie tu przyjeżdżają z oddalonego o 25 mil wybrzeża Kolumbji tylko w czasie zbierania owoców. Dnia 30 grudnia, po skończonej naprawie masztu odjechaliśmy, kierując się do Esmeraldas, oddalonej o 120 mil. 8 dni trwała ta żegluga pod wiatr i pod prąd w towarzystwie deszczów.

W Esmeraldas postoję jeszcze parę dni, ponieważ mam mnóstwo reparacyj. Zamówiłem także pompę, gdyż nie sposób jest wylewać wodę rękami. Władze przyjęły mię dobrze, a zresztą to już tu wiedzieli wszyscy o mojej podróży.

Przedwczoraj dostałem gratulacyjną depeszę ze stolicy od kolonji polskiej w Ekwadorze.

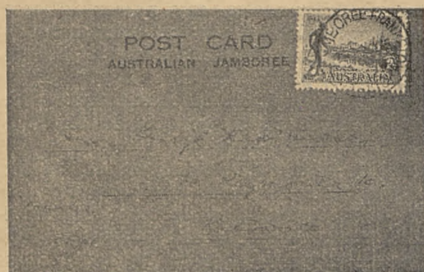
Tymczasem kończę, zasyłając pozdrowienie członkom Z. H. P. Czuwaj! Wł. Wagner.

Czy wyczyn Wagnera ma sens i znaczenie w życiu naszego Państwa? — może kto spyta.

Polska musi szukać nowych szlaków, któreby ją wywiodły z bezrobocia i trudności gospodarczych ku lepszej i szczęśliwszej przyszłości. Jeszcze wiele jest na świecie miejsca dla nowych kolonistów, kupców, rzemieślników, badaczy i odkrywców. Droga do tych możliwości prowadzi przez morze, a prowadzi tylko ludzi silnych, dzielnych i z morzem żyjących za-pan-brat. Wagner i jemu podobni są pionierami tych, nowych dla Polski, szlaków i dlatego wyprawa jego godna jest nietylko zainteresowania, jakie żywimy dla każdej wielkiej i romantycznej przygody, ale i szacunku.



POZDROWIENIA Z AUSTRALJI.



„Na Tropie“ dostało z Australji pozdrowienia. Do Australji jest bardzo daleko, jakieś półtora miesiąca drogi. Skończył się tam właśnie niedawno w jednej ze stolic australijskich, Malbourne, wielki zlot, który połączył uroczystość skautową z obchodem 100-lecia istnienia miasta. Trzeba wam wiedzieć, że jest to jedno ze starszych miast Australji, skąd wniosek, że historja tej części ziemi nie zaczęła się dawno.

Ludzie oczywiście mieszkali tam już dawno, ale dzikusy byli, ani rusz nie mogli niczego wymyśleć, żadnej cywilizacji ani kultury utworzyć. Jedni żyli z polowań na kangury i bezogoniaste strusie, inni dukali w ziemi drewnianemi sochami i próbowali coś wyhodować, na gruncie pozbawionym wody, nieurodzajnym, złym. A polowało się na zwierzęta wciąż dzidą i maczugą, miotać pociski uczyli się bumerangiem, bo bumerang jak się go rzuci, to wraca skąd wyleciał i znów go można rzucać. Niektóre plemiona były łagodne, pobożne, wierzyły jak my w jednego Boga, żyły w zgodzie i dobrej woli, inne znów złe. ludożercze, nie mogły usiedzieć na meijscu, łaziły z kąta w kąt i dokuczały innym.

Australja jest nieomal tak duża jak Europa, ale i teraz niema tam nawet tyle ludzi co w Polsce, a dawniej było jeszcze mniej. Zainteresowali się tą pustą częścią świata Anglicy i z Ameryki, w czasie gdy Ameryka była jeszcze kolonją angielską, zaczęli wysyłać tam różnych bandytów i łotrzyków, których trzeba się było pozbyć z kraju a zabijać jakoś nie wypadało. Zato łotrzyki owe nie miały żadnych skrupułów co do Australczyków. Wyrzynali całe plemiona w pień. Tembardziej, że Australczycy, sami dzikusy, uważali stada owiec, które sobie przybysze hodowali, za dzikie zwierzęta i zabijali im je. Z niektórych plemion, np. Tasmańczyków, nie pozostał ani jeden człowiek.

Australczycy próbowali się bronić i mścić, ale bardzo szybko przekonali się, że to nie pójdzie i jedni uciekli, gdzie pieprz rośnie, inni jakoś pogodzili się z przybyszami.

Ogromne australijskie pastwiska pozwalały na wypasanie całych setek tysięcy wspaniałych owiec australijskich, których sierść dostarczała surowca do sławnych na cały świat angielskich wyrobów włókienniczych. Stada te pasą tacy sami krowiarze, czyli kowboje, jak amerykańscy, tylko zamiast lassa, używają ogromnego bicza na króciutkiem biczysku, z którego przy wprawie strzela się jak z armaty, a wtedy nawet najbardziej psotna lub spłoszona owca staje jak zaklęta w capa.

Obecnie Australja doszła już do jakiego takiego znaczenia, ma 8 większych miast (Sidney liczy ok. miljona mieszk.) i całe mnóstwo skautów, którzy urządzili sobie zlot, gdzie przybyło około 15.000 osób nietylko z Australji, ale też z Ameryki, Azji, no i Europy. Był też Naczelny Skaut z żoną i dziećmi.

Co się dzieje w Dworku Cisowym.

Dotychczasowa Szkoła Nowego Typu dla dzieci w Dworku Cisowym została w tym roku przekształcona dzięki subsydjum Dha Przewodniczącego Dr. Grażyńskiego, oraz wydatnej pomocy drużyn harcerskich w Polsce i w Anglji, na schronisko dla dzieci powodzian.

Gdy nam Gaździna oznajmiła o tem postanowieniu, to oczywiście uznałyśmy jego słuszność i konieczność, zwłaszcza że zetknęłyśmy się z powodzią bardzo blisko i widziałyśmy same, ile rodzin poprostu nie miało gdzie mieszkać przez zimę i czem żywić swój drobiazg. Ale mimo to było nam strasznie przykro rozstawać się z naszymi dotychczasowymi wychowankami, a przytem mówiłyśmy sobie:

— Kto wie, jakie one będą takie wiejskie dzieciaki? Pewno brudne, może niegrzeczne, nieciekawe.

Jednak, gdy zaczęłyśmy przygotowywać na ich przyjęcie oba nasze domy, gdy zaczęły stopniowo napływać dary od drużyn (głównie warszawskich), to jakoś odnalazłyśmy w sobie trochę cieplejsze dla nich uczucia. Byłyśmy dawno gotowe na przyjęcie dzieci i dzieci oddawna sposobiły się do wyjazdu, a tu wciąż szły jakieś narady, pisano listy, papierki, podania, zaświadczenia... zdawało się, że już te dzieci nigdy nie przyjadą.

Przyjechały jednak nareszcie i dzień ten wydał się nam podobny chyba do nowej powodzi — tak cały dom był pełen dziecinnego płaczu i rozpaczy: trochę za rodzicami, którzy zaraz tego samego dnia musieli odjechać, więcej za warkoczami, które w większości wypadków trzeba było pościnać do skóry, a najbardziej najrzewniej za ubraniem domowem, które zostało oddane do prania. Próżne były wszelkie tłómaczenia, że przecież „dostaniesz swoje ubranko, jak je wypiorą“, że tymczasem „masz tu ładniejsze“. Ale co tam. Co warta choćby najpiękniejsza nowa sukienka, gdy ta własna jedyna, ta domowa, ta od mamy, została zabrana gdzieś z przed oczu i kto wie, czy naprawdę kiedy z owego „prania“ wróci. Dzieci szlochały rozpaczliwie i beznadziejnie, jakby nie sukienka szła do prania, ale chałupa poraz drugi rozpadała się w kawałki pod naporem rozszalałego Dunajca.

Wbrew naszym przewidywaniom jednak już na drugi dzień od rana ustała rozpacz, bo tyle nowych i ciekawych rzeczy działo się wkoło, a najciekawsze, najdziwniejsze, najbardziej fascynujące było to, że nie trzeba było kilka razy dziennie w mróz na bosaka wylatywać „na pole“. Tutaj „pani“ prowadziła „na kąty“. Co za rozkosz. Ile wrażeń. Jakie cuda wogóle. „Pani“ pociąga za łańcuszek i za chwilę niewiadomo skąd... Huuu, szumi woda, burzy się chwilkę i znika. Dziecko głęboko zamyślone wraca do bawialni i siada w kąciku, by przemyśleć całą sprawę w spokoju, a za chwilę z rozpromienioną buzią pędzi, by raz jeszcze przeżyć niesłychaną rozkosz cudu.

Nasze dzieci były bardzo obficie zaopatrzone. Całe paki ubrań nadchodziły z różnych stron. Lwów*) przysłał ubrania, pieniądze, słodycze, to samo Warszawa, a ponadto koce, szczotki do zębów, mydła dla wszystkich dzieci, ze Śląska nadszedł wagon koksu, wagon węgla, starostwo nowotarskie ofiarowało drzewo, inne drużyny również dały swą drobną ofiarę, 12 ślicznych wełnianych kocyków i worki ubrań nadeszły od harcerek angielskich, ale nikt z nas nie pomyślał, że dziecku do szczęścia potrzeba koniecznie jednej rzeczy.. zabawek. Naszym bardzo prędko znudziły się różne gry zbiorowe ze śpiewami, ale oczywiście same nie wiedziały, czego im właściwie brakuje. A my zrozumiałyśmy to pewnej niedzieli, gdy dyżur z dziećmi objęła Lena. Wpadła ona, nie wiem już jakim sposobem, na pomysł, by powycinać dzieciom laleczki ze starych kopert. Podszewki tych kopert udawały sukienki. Owe prymitywne laleczki dokonały prawdziwego cudu. Pomiędzy dziewczynkami była jedna strasznie biedna góraleczka z Maniów, córka wyrobnicy, która wychodząc do całodziennej pracy, zamykała dziecko na klucz w izbie. Zostawiała jej jedzenie na cały dzień, a gdy wracała wieczorem, dziecko już spało. Z sąsiadów nikt widocznie do niej nie zaglądał, dość że 5-letnia dziewczynka pozatem, że wyglądała na lat najwyżej cztery, nie umiała wcale mówić. Była u nas coś tydzień i nikt nie słyszał, aby powiedziała choć słowo, mimo że rozumiała i wykonywała polecenia i, że z inteligentną minką przypatrywała się uważnie wszystkim mówiącym. I ta oto mała Dorotka otrzymawszy od Leny papierową lakę, zaczęła ją oglądać uważnie i nagle podszedłszy do niej pokazała jej z tryumfem biały kawałek koperty pod kolorową sukienką, mającą imitować ciało lalki i powiedziała poważnie, ze znawstwem:

— Kosiula.

Maleńka Helcia usiadła na krześle ze swą lalką, otoczona gronem innych dzieciaków i najprzód sama pocałowała czule swą lalkę, a potem dała ją całować kolejno reszcie dzieci. Zachęcona powodzeniem Lena zdała komuś swój dyżur i przez resztę dnia poświęciła się masowemu fabrykowaniu lalek, wózków a nawet koni papierowych. Zresztą już na drugi dzień z owych zabawek zostały strzępy, ale myśmy zaczęły sobie głowy łamać, skąd tu wytrzasnąć jakie zabawki dla naszych dzieci. Wieczorami zaczęła się robota, kurs dla drużynowych wiejskich i my wszystkie wysilałyśmy pomysłowość na wycinanie lalek i misiów z gałganków, prócz tego kleiłyśmy ozdoby choinkowe. Nasi przyjaciele jakby to przeczuli, bo oto nadchodzi ze Lwowa spora suma pieniężna, której część odrazu zostaje przeznaczona na kupno zabawek, a potem zaczynają się sypać paczki ubrań, ciast, ozdób choinkowych i zabawek od kochanych Zuchów śląskich. Czego tam nie było. Rozpakowując to wszystko my same czułyśmy się uradowane. Odrazu było wiadomo, że Irka dostanie urządzenie szkoły, a Janeczka kredens i kuchenkę, a wielka lala będzie dla malutkiej Hanusi, najbardziej zabiedzonej ze wszystkich dzieci i t. d.

Takto myśmy sobie dzieliły, ale dzieci okazały się mądrzejsze od nas. Nie mogę Wam opisać całej radości świątecznej i choinkowej, bo i tak ten list już strasznie długi, więc tylko powiem, że dzieci nie uznały naszego podziału. Zabawki wszystkie należą do wszystkich i rzadko kiedy któreś dziecko pokłóci się o nie z drugiem. Najczęściej zaś bawią się niemi wspólnie i zabawa jest codzień tasama, zawsze najciekawsza i najbardziej ulubiona a nazywa się „w panie“.

„Panie“ to są Helcia i Irka, a reszta dzieci to „dzieci“. „Pani“ Helcia na swojej małej kuchence gotuje obiad „w Dworku“. „Pani“ Irka na Orlem Gnieździe bawi się z dziećmi i woła do Helci:

— Prose pani, prose pani, bo my s dzieciami przydymy do Dworku na obiad.

A Helcia z drugiego końca pokoju odkrzykuje tak głośno jakby naprawdę wołała z Dworku do Orlego Gniazda.

— Dobze. Jak ino ugotujem to zadzwoniem.

Poczem Irka zabiera się do mozolnej pracy ubierania swojej gromady, bo „na dworze tęgi mróz“. Wkońcu cała gromada staje wkoło imaginacyjnego stołu „w Dworku“ i z przejęciem recytuje chórem:

„Panie Boże, poblogoslaw nas i te dali, które bydymy spoziwali s Twoji świnty opacności. Amyn.“

Poczem już obie „panie“ prawie bez przerwy strofują swoje „dzieci“.

— Bronek, nie kiwaj się.

— Magda jidz ino pomalućku.

— Jasiek tsymojze piknie ty łyske.

Niewszystkie dzieci mówią wyraźnie. Niektóre tak zabawnie bełkocą, że tylko Walka umie je zrozumieć. Maleńka niespełna dwuletnia Anatolka wyciąga do niej rączki:

— Mama, apa.

— Ona chce, żeby ją wziąć na ręce — tłómaczy Walka.

Pewnego razu spotykam na schodach do kuchni dużą sześcioletnią Zośkę.

— A ty po co idziesz do kuchni?

— E bo mi pani kozeli iść uocecie — odpowiada śpiewnie przeciągając „u“ i wyraźnie akcentując „o“.

— „Otrzeć się“? — zapytuję zdziwiona — to idź do łazienki. Czy ty jesteś brudna?

— Nie umyć się, ba uocecie — powtarza Zośka.

Zabieram ją do jadalni i pytam dyżurnej druhny:

— Kaziu, czyś ty posyłała Zośkę do kuchni?

— Tak, prosiłam, by mi przyniosła „trzecie“ (deser). **Marol.**



Marcowa zima.

---

*) Gimnazjum im. Król. Jadwigi.

IDZIE WIOSNA

Już po zimie. Jeszcze nas atakuje nawrotami mrozu, jeszcze wiatr nam sypnie czasem śniegiem w oczy, ale już wiosną czuć w powietrzu. Są tacy, co już bociany w Polsce widzieli, a skowronki także się już pokazały.

Idą w kąt „deski", sanki, łyżwy i inne z zimą związane przedmioty. Idą w kąt — to znaczy są porządnie odczyszczone, na lato odpowiednio zakonserwowane, a ich „kąt" jest właśnie najodpowiedniejszem dla nich miejscem w mieszkaniu: żeby im było sucho, a nie za gorąco (np. nie za piecem kuchennym!), a mieszkańcom żeby nie plątały się pod ręką i nogami.

Oczywiście, jeśli tylko trafi się względnie pogodna niedziela, a gleba okoliczna nie grozi utonięciem w błocie, *idziemy w pole na harce!* Ale na harce nie można iść z gołemi rękami. Tak całkiem „gołych rąk" to chyba nie macie, wiadomo — każdy młody człowiek w waszym wieku uważa, że kieszenie są poto, żeby w nich nosić całe skarby, niezliczone ilości wielce cennych przedmiotów. Które z nich jednak mogą być harcerzowi na wycieczce potrzebne, a które są tylko niepotrzebnym balastem?

Spróbujmy to określić. A więc na wycieczkę trzeba wziąść ze sobą... Nie! Ty sam to powiesz, miły czytelniku!

Ogłaszam wielki Konkurs na temat: Co harcerka — harcerz powinien mieć ze sobą, idąc na całodzienną wycieczkę?

Odpowiedź konkursowa na to pytanie powinna zawierać:

1. Nazwisko, imię, adres, wiek i stopień harcerski nadsyłającego,
2. szczegółowy wykaz przedmiotów *niezbędnych* na codziennej wycieczce harcerce lub harcerzowi posiadanego przez nich stopnia (ochotniczka — młodzik, pionierka — wywiadowca i t. d.) Wykaz może zawierać również przedmioty *pożądane*, lecz niekonieczne, muszą one być jednak jako takie oznaczone. Przedmioty te, poza przepisowemi szczegółami umundurowania, winny być zwięźle określone.
3. *rozmieszczenie* tych przedmiotów (plecak, kieszenie koszuli lub spodenek, przytroczone do paska i t. p.)

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa z dniem 31-go marca, dalej więc druhny i druhowie do pracy!

Najlepsza odpowiedź będzie opublikowana w „Na Tropie", a ponadto nagrodzona.

Na nagrody przeznaczamy:

2 noże fińskie,
2 kompasy,
4 książki harcerskie.

Wynik konkursu będzie ogłoszony w numerze 7-mym z dnia 10 kwietnia.

BABSKIE RADY.

Aluminjowe naczynia można czyścić mydłem (dla zachowania białości gotuje się w niem łupiny z jabłek). Albo też można czyścić, trąc wewnątrz i po wierzchu gliną. Po opłukaniu w czystej wodzie natrzeć rądel kredą, rozrobioną w wodzie, a gdy zaschnie, wyczyścić kawałkiem flaneli.

Naczynia blaszane poczerniałe i zbrudzone, można przywrócić do dawnego wyglądu, jeśli pokryjemy je na parę godzin papką, zrobioną z czystego popiołu i oleju konopnego, a później wytrzemy płócienną szmatką i wypolerujemy wełnianą.

Naczynia szklane brudne dobrze się myją kawałkiem bibuły lub obierzynami z kartofli.

Ciąć gumę należy nożem, umoczonym w glicerynie lub wodzie, przeciętą powierzchnię przykryć ściśle papierem woskowym.

Szklane korki mocno tkwiące, wyciąga się, wpuszczając parę kropel oliwy jadalnej. Korek kręcić, gdyby nie chciał ustąpić — nagrzać w ciepłej wodzie lub przez pocieranie szyjki sznurkiem.

Dla zabezpieczenia od rdzy należy żelazo, czy stalowy przedmiot silnie rozgrzać, poczem natrzeć białym woskiem. Następnie trzeba nagrzać poraz drugi i stopiony wosk silnie wytrzeć kawałkiem skóry lub sukna. H. M.

Redaktor ma głos.

Dh. M. Korwin-Piotrowski, Warszawa. Najlepszem pismem skautów francuskich jest „Scout", organ „Scouts de France". Prenumerata roczna 25 franków, adres: 66 ter rue St. Didier, Paris, France.

D. Harcerek, Andrzejów. Sztuczki takiej niestety niema dotąd w literaturze harcerskiej.

D. Harcerek we Wrześni. Zasadniczo dzień św. Jerzego obchodzą tylko chłopcy. Harcerki święcą swój „dzień myśli braterskiej" 22 lutego. Sztuczka „Prawy harcerz" jest wybitnie dla chłopców.

Dhna Tomczykówna, Chrzanów. Numer, zawierający „Alarm" jest niestety wyczerpany.

Dh. Jan Sypniewski, Konin. Niestety technicznie niemożliwą jest rzeczą kwoty, wpłacone dawniej i to na różne konta, zaliczyć obecnie na łączną, zniżkową prenumeratę pism.

Koło Harcerskie Alumnów Sem. Duch. we Lwowie. Adres pisma skautów czeskich: „Skaut Junak", **Praha**, Vodickova 6, cena 25 kc. rocznie. Nie rozumiemy, czy Druhom chodzi o pismo międzynarodowe, wychodzące w Anglji, czy też pismo skautów angielskich. Pismem międzynarodowem jest kwartalnik „Jamboree", można je zaprenumerować u Komisarza Międzynarodowego dha Kapiszewskiego (Katowice, Reymonta 10) za cenę 4,50 zł rocznie. Pismo angielskie dla drużynowych nazywa się „Scouter" (cena 4 szylingi 6 pensów rocznie). Adres: 25 Buckingham Palace Road SW,1 London), dla młodzieży tygodnik „The Scout" (cena 13 szylingów rocznie, adres: 28 Maiden Lane, London W. C. 2).

II. Dr. Harcerzy w Aleksandrowie Kuj. Zamówionych książek nie posiadamy na składzie. Zwróćcie się po nie do składnicy Harcerskiej, Warszawa, Traugutta 2.

Dh. Stanisław Oleksy, Chicago. Pieniądze otrzymaliśmy i dziękujemy za nie. Cieszymy się ogromnie, że się Wam nasze pismo podoba. Numery wysyłamy, wraz z serdecznem życzeniem powodzenia i naszem hasłem: Czuwaj!

Dhna Styczyńska, N. Sącz. Prospekty takie posiada Główna Kwatera Harcerek (Warszawa, Myśliwiecka 3/5).

Dh. J. Achtelik. Adres dha Zdzisława Wójcika: Kraków, ul. Michałowskiego nr. 15.

VIII. D. H. w Wiśniowcu. „Prawy Harcerz" to sztuczka, którą odgrywać mogą chłopcy w wieku 12—18 lat. Akcja rozgrywa się częściowo w szkole, częścią w izbie ubogiego chłopca, częścią w obozie. Sztuczka jest bardzo interesująca i ładna, kosztuje 1 zł.

Korespondencja.

Zastęp „Orłów" VIII dr. h. im. Zawiszy Czarnego w Cieszynie. Napiszcie list do dha Siedleckiego, a nawiążecie kontakt z drużyną polską w Ameryce. Adres: Nr. 4287, E. 71 str. Cleveland Ohio (U. S. A.) druh M. Siedlecki.

O. Idzi, Łomża. Powyżej jest umieszczony adres harcerzy z Cleveland Ohio, z którymi chce druh korespondować.

Zastęp „Granitów", jeden z najstarszych przy I. ż. druż. im. E. Plater w Kielcach chce korespondować z zastępem harcerek z innych okolic Polski w celu pogłębienia wiadomości. Adres: Zastęp „Granitów" Kielce, gimn. im. Bł. Kingi.

„Anko" z Żor. Podajemy adresy drużynowych polskich drużyn zagranicą ew. drużyn: Den Polska Arbejderforening, dla druż. harc. Nakbing F. Fradensgade 15, Danja, Antoni Powiecka, **Oppeln** O/S, Ludwigstrasse 5 a Niemcy; H. Hanus, Raj 166 **Frysztat** Czechosłowacja; Consulat de Pologne Kossuth Lajoster 13/15 Budapest Węgry, dla polskiej drużyny harcerskiej.

Ż. D. H. w Sosnowcu. Adresy skautek polskich zagranicą: E. Zgołówna — 10 Cite St. Jacques du Dienat, **Montluson** (Allier) France; H. Sterczałówna, **Berlin**, S. W. 19. Dresdenerstrasse 52. C. D. P.

Druh J. Rogala, Rawicz. Adresy skautów, z którymi możecie korespondować po polsku: Hans Toffler, Wien, Wipplingerstrasse 8, Oesterreichischer Pfadfinderbund, Austrja; Alföldy Laszló, Budapeszt V, Vysegradi Nr. 53, V. 6. Węgry.

O nawiązaniu korespondencji należy zawiadomić Redakcję „Na Tropie".

TAJEMNICE ZASTĘPOWYCH.

Głosy dyskusji.

Otrzymaliśmy z Wielkich Hajduk w związku z zamieszczonym w Tajemnicach poglądem, że nie powinno się pracy świeżych młodzików opierać na stopniach, następujące uwagi, które podając poniżej, chcielibyśmy wywołać dalszą dyskusję.

Sprawa materjału do pracy z najmłodszymi „młodzikami" jest nadzwyczaj aktualna i dobrzeby było, by zastępowi w Tajemnicach podzielili się swemi uwagami i napisali, czy też szukacie nowych dróg.

Pamiętajcie, że im więcej głów, tem więcej pomysłów, tem żwawiej i owocniej pójdzie nasza praca. Czekamy pomysłów i wiadomości.

Oto co pisze dh. Alojzy Loch z Brunatnej Dwójki.

Nawiązując do kwestji poruszonej w drugim numerze „Na Tropie", co robić w zastępie po zdobyciu przez druhów młodzika, przyznać muszę autorowi najzupełniejszą rację. Właśnie tych „najmłodszych" harcerzy zastępowy winien otoczyć jak największą opieką, gdyż tylko od zastępowego zależy, czy ten młodzik będzie harcerzem rzeczywistym, czy też tylko harcerzem z nazwiska, albo jak niektórzy mówią, „harcerzem na pewien okres".

Największym błędem, jaki zastępowy może popełnić, to jest wbijanie w młode mózgi stopni, i jeszcze raz stopni. Przecież życie harcerskie kryje w sobie dla tych młodych dusz skarby romantyzmu, przygód i t. p. Trzeba tylko sięgnąć ręką do tych skarbów życia harcerskiego, a młodzik za to wdzięczny wam będzie.

Błąkają się w jego główce jeszcze rozmaici apasze, płaskie stopy, mohikanie i t. d. Chcieć temu młodzikowi romantyzm ten wybić z głowy (a niektórzy zastępowi uważają to za cel swej pracy) znaczy wprowadzić go w twarde życie rzeczywiste z wszystkiemi jego szykanami jak kryzysem, bezrobociem i t. d. W oczach tego młodzika życie harcerskie staje naraz odarte z jego uroku, a przedstawiające się jako kościec stopni i sprawności, naszpikowany przepisami prób. Dlatego też w interesie tak tego młodzika jak i w interesie jego drużyny macierzystej, zastępowy powinien się wczuć w tę młodą duszę i nie odzierać jej z tego, co jest prawem młodości.

Zbiórki zastępu zastępowy nie powinien prowadzić w formie „szkolnej". Członkami takiego zastępu są zapewne albo uczniowie ostatnich klas szkoły powszechnej albo też niższych klas gimnazjum. Dlatego zastępowy winien unikać wszystkiego, co zanadto przypomina lekcję szkolną. Nie powinien wpadać w ton „profesorski", wykazywać swojej wyższości intelektualnej, bo to za niego robi już profesor lub nauczyciel, którzy zresztą do tego mają prawo. Prowadzenie zbiórki w formie „pedagogicznej" sprowadzi na młodzików nudę, a wynikiem tego będzie opieszałość w chodzeniu na zbiórki, a stąd jeszcze tylko krok do zwolnienia. I znów harcerstwo straci głowę, poco wogóle ten do harcerstwa wstąpił. Wina zastępowego- Broń Boże! Przecież on swój obowiązek spełnił.

Program zbiórki u młodzików powinien być mniejwięcej taki:

a) ćwiczenie harcerskie według Wyrobka „Harcerz w polu". Po ćwiczeniu b) śpiew, c) gawęda zastępowego na temat wykonanego ćwiczenia, d) kwadrans humoru, e) temat harcerski, f) śpiew i zakończenie.

Zresztą fantazja zastępowych zapewne coś lepszego wymyśli, byle tej fantazji nie żałować.

Pierwsza zbiórka.

Rozkaz: „mianuję p. o. zastępowym..."
Nareszcie, nareszcie zostałem zastępowym!

Izba. Pierwsza zbiórka z moim zastępem. Kręcę się stremowany po izbie. Chcę odwlec chwilę wydania komendy — „Baczność — w szeregu zbiórka". Boję się, że krzyknę za cicho, albo za głośno, że głos mi nie dopisze. A tu jeszcze siedzą drużynowy i plutonowy.

Pamiętam przecież na egzaminie na ćwika, czy wywiadowcę, prowadziłem musztrę całej drużyny. I wydawałem komendy głośno, wyraźnie, spokojnie, a teraz głupie „Baczność" nie chce przejść przez gardło. Na szczęście tuż przed terminem władze wyszły. Nareszcie!

Prężę się i... zamiast silnego, podrywającego „Baczność", wyszło coś mdłego i cherlawego.

Stanęli w miejscu. Przepisowo. No, jakoś nie jest tak źle. Odwracam się i idę powoli na miejsce zbiórki. Wtem jakiś szmer za plecami, czuję, że ktoś się cicho, ale zato bardzo ironicznie śmieje.

To zdecydowało. Co, ze mnie się mają śmiać? Nie, nie mogę do tego dopuścić. Gdzież autorytet zastępowego?

Już jestem spokojny, silnym głosem komenderuję. Stoją wszyscy równo w szeregu. Próbuję głos — „Baczność — spocznij". Dobrze. I żeby dodać sobie animuszu cedzę powoli:

— Zdaje się, że jest spocznij. Co?

Jestem spokojny. Sprawdzam obecność, ubrania, ręce. Brudne. Chcę pokazać, że ze mną nie będzie przelewek:

— Pójdziesz zaraz umyć ręce. Już — odmaszerować. I ty też.

Przystępuję do dalszej części zbiórki. Ukradkiem zerkam do pracowicie ułożonego planu, co teraz następuje? Aha, terenoznawstwo. Pogawędka o polskiej setce.

Siadamy dookoła stołu. A do mnie znowuż wraca ta przeklęta trema. Umyślnie wyjmuję tak długo mapę z teczki, aby móc się opanować. Tymczasem myśl pracuje gorączkowo: „Las — tak; stacja — tak; skala — taka; kolorów — tyle i tyle... Dobrze". Żeby się — broń Boże — nie zblamować, nie zająkać, albo — co najgorsze — nie poinformować ich źle.

Zaczynam niepewnie:

Mapa polska jeden do stu tysięcy, zwana popularnie „setką"...

Wraca mi spokój. Mówię już pewnie, słowo następuje po słowie i wiem, że jest napewno dobre.

Na zakończenie znowuż chcę udać ważnego a jednocześnie mądrego zastępowego:

— A teraz zobaczę, jakeście uważali, napiszecie mi odpowiedzi na kilka pytań, odnoszących się do „100"'. Zaznaczam, że konkurs trwa i to będzie w nim punktowane".

Dyktuję pytania.

Dosyć już byłem surowy. Teraz muszę być — dla równowagi — dobrym. Żeby wiedzieli, że to tylko dla ich dobra. Wyjaśniam pytania i podsuwam odpowiedzi. Staram się, żeby każdy zrozumiał i napisał dobrze. Jednak czuję, że i ta karność i dobroć to tak tylko na „zamówienie".

Zaraz wybuchną śmiechem, strasznym śmiechem. Wiem to. Oczywiście ze mnie śmiać się będą. I co ja wtenczas zrobię, co zrobię? Co?

Na szczęście gra skończona. Dla każdego byłem dobry, ale też rugałem i krytykowałem w miarę. I jakoś nie roześmiali się.

Teraz — dla odmiany — mnie się chce śmiać. Ze mnie samego. Widzicie go, rozhisteryczony zastępowy. Ale nie chcę się roześmiać przy nich. Plan przychodzi mi z pomocą. Ma być teraz gra: szukanie sygnetu ukrytego w izbie. Muszą wyjść do przedsionka. Ja zostanę sam i ochłonę.

Rzeczywiście wróciłem do równowagi. Ani się nie boję, ani mi się śmiać nie chce. Ale teraz nowy kłopot, jak schować, żeby nie mieli ani za trudno, ani za łatwo. Po chwili kłopot ten znika zupełnie. Już schowałem.

Wprowadzam ich do izby. Szukają. Ja zaś przechodzę z miną obojętną, w rzeczywistości bardzo zaciekawiony, pomiędzy nimi. Znalazł jeden. Gra skończona, muszę jednak na zakończenie powiedzieć kilka słów o grze:

— Widzicie, że to nie było ciężko schowane, że na tem samem tle, trzeba trochę sprytu...

Dalszy ciąg, zerkam do planu — gry ruchowe. Schodzimy na salę gimnastyczną.

Najpierw wyścigi sztafet sygnalizacyjnych. Tłumaczę im zasady długo i szeroko, aż do znudzenia. Pewnie już dawno zrozumieli, a ja ciągle jeszcze ględzę, żeby wszyscy wiedzieli o co chodzi, żeby się dobrze udało. I udało się, nadspodziewanie dobrze. Następne też udały się dobrze, chociaż daleko krócej je objaśniam.

Jeszcze pozostaje jeden punkt — musztra.

Znowuż gorączkowo pracuje głowa. Przypominam i powtarzam komendy, które mam wydawać. Bo cóż będzie, jak będę źle mówił, źle wydawał komendy, źle nauczę ich musztry... Ale stwierdzam z przyjemnością, że jestem znacznie spokojniejszy niż przed zbiórką i przed wykładem.

10 minut musztry. Jak mało, a jak wielka jest rozpiętość mego głosu. Od słabego i nie wzbudzającego poszanowania początkowego „Baczność", do rozkazującego i silnego końcowego „W miejscu rozejść się!" Zbiórka skończona.

Pierwsza moja zbiórka z moim zastępem jest już poza mną.

Wyszedłem na ulicę. Śnieg zacinał po twarzy. Odetchnąłem głęboko i radośnie... Pewien jestem, że teraz zbiórki już będą mi wychodziły dobrze.

Kazimierz Koźniewski
Warszawa XVI. D. H.



ZUCHY

Czy zostać zuchowym wodzem

Czasem się zdarza, że starszyzna drużyny, zebrana na Radzie, ma duży kłopot: szuka kandydata na wodza gromady zuchów.

Rada drużyny wie, że prowadzenie gromady, to jest coś więcej, niż prowadzenie zastępu. I „ludzi" jest sporo, i odpowiedzialność większa, i samodzielność pełniejsza. Więc nie można tam posłać pierwszego z brzegu młodzika. Trzeba wyznaczyć na tę placówkę kogoś już wyrobionego, jakiegoś morowego zastępowego, a może nawet któregoś z przybocznych.

Ale kogo?

Jak wyszukać kandydata na wodza, któryby był „właściwym człowiekiem na właściwem miejscu"?

* * *

Drużynowy zwykle mówi na Radzie Drużyny tak:

— Potrzebuję człowieka ambitnego, mogącego przejąć samodzielną placówkę harcerską: gromadę zuchów. Żądam tylko jednego: aby lubił bawić się z małymi chłopcami i umiał się z nimi bawić. Który z druhów zgłasza swoją kandydaturę?

* * *

Właśnie który?
Ja?

* * *

Jeżeli się wahasz, jeżeli nie wiesz, radzę: zrób sobie próbę.

Zbierz kilka razy na zabawy paczkę malców w wieku zuchowym. I obserwuj siebie i dzieci.

Czy przyjemnie ci było bawić się z niemi? Czy było wesoło? Czy chłopcy na drugi raz przyszli w wyznaczonej porze na zabawy? Czy słuchali ciebie i wypełniali szybko twe polecenia? Czy nie wstydziłeś się przed kolegami, że zadajesz się z takiemi pętakami?

Jeżeli tak — możesz zaryzykować zgłoszenie swej kandydatury na wodza. Jeżeli nie — „ukryj się w cieniu". Niech się kto inny zgłasza. W każdym razie — próbę dla własnej ciekawości, dla poznania samego siebie — radzę przeprowadzić.

Zapewne — twoje zgłoszenie jeszcze drużynowemu nie wystarczy. Zechce pewnie wybadać, czy jesteś mądrym chopcem, aby nie działy się na zbiórkach zuchowych jakieś rzeczy złe. Zaproponuje ci też pewnie odbycie kursu i przeczytanie jakiejś książki zuchowej. Pewnie też zbada twą wytrwałość, sumienność i ogólny poziom ideowy.

Ale to wszystko — jest raczej na drugim planie. Najważniejsze, abyś sam wiedział, czy ci dobrze będzie na zbiórkach z malcami, i czy im będzie dobrze z tobą.

A. Kamiński.

ZUCHOWE ZABAWY.

W lokalu:

Stacja węzłowa.

Zuchy ustawiają z ławek lub krzeseł gwiazdę, o tylu ramionach, ile jest szóstek. Każda szóstka siada na swej ławce. Wódz jest zawiadowcą stacji, a ławki pociągami — np. „pociąg wiślański", „krakowski", „warszawski". Każda szóstka na sygnał ma przesiąść się ze swego pociągu do innego, np.: z krakowskiego do wiślańskiego, z warszawskiego do poznańskiego i t. p. Zuchy siedzą, wtem wódz krzyczy: „Stacja Katowice, przesiadać". Zuchy prędko, bez popychania się zajmują miejsca w innym pociągu. Punkt dostaje ta szóstka, która pierwsza i najlepiej zajęła miejsce w „pociągu". Zawody powtarzać należy kilka razy. D-ń.

W polu.

Polowanie na ptaki.

Zuchy nie polują na ptaki ze strzelbami, ani z kamieniami. To jest specjalne polowanie zuchowe. Szóstki otrzymują od wodza polecenie, np. wytropić ptaka. Szóstki szukają, poczem „polują" na najpierw dostrzeżonego ptaka. Wódz daje dalsze polecenia, np. odnaleźć odciski stóp na ziemi, znaleźć piórko ptaszka, dowiedzieć się, jakiego koloru piórka ma ptak i t. p. Zuchy na wszystkie te polecenia muszą szóstkami znaleźć odpowiedzi. Wygrywa ta szóstka, która znalazła odpowiedź na wszystkie, albo na największą ilość poleceń.

K. S.



ZUCHY W WYCHOWANIU INTERNATOWEM. Druh Aleksander Ogorzały założył w jednym z internatów lwowskich gromadę zuchową, której usiłuje zakreślić szersze zadania w ogólnem życiu internatowem.

LETNISKOWY GMACH „SPOŁEM" ma być ofiarowany Komendzie Chorągwi łódzkiej na przeprowadzenie w nim letnich kolonij zuchowych.

Zuchowa piosenka.

Na jednej zbiórce gromady „Wojowniczych kogutów" uczyli się chłopcy piosenki — „Wesół i śmiały". Szybko im to szło — nauczyli się dwu zwrotek, a na trzecią zabrakło czasu, no bo jeszcze nic nie majsterkowali, a bałwan śniegowy stał bez głowy, nosa i lewej ręki. Trzeba to dokończyć.

Wódz Jędrek tak załatwił sprawę piosenki. — „Jeśli na przyszłą zbiórkę przyjdziecie do szkoły — znajdziecie list, piosenkę, jeszcze coś — i jeszcze coś bardzo ciekawego.

„Gdzie to będzie wodzu, — czy wódz nam to da, napisze?"
— Nie — nie dam — ale jeśli nie będziecie gapami, to zaraz po przyjściu na ganek szkoły coś zobaczycie.

— A czy wódz nie buja — naprawdę! No to dobra jest — przychodzimy, ale wodzu, żeby było — koniecznie.

Tydzień przeleciał jak z bicza trzasł. Pamiętał wódz o obietnicy i zrobił zuchom taką niespodziankę. Całą trzecią zwrotkę piosenki: „Wesół i śmiały" — napisał zuchowym językiem. Owinął w mocny papier, zawiązał sznurkiem, na drugim kawałku papieru napisał tak: „10 kroków od tego miejsca jest list. Jeśli go znajdziecie, odczytacie — jesteście prawdziwymi zuchami".

Już ciemno. Na ulicy mało osób. Jędrek nie kładzie się spać, ale wdział palto, włożył do kieszeni list dla zuchów i poszedł do szkoły.

Na poręczy schodów przed gankiem przywiązał pakiecik z listem, a list z piosenką w odległości 10 kroków zawiesił nisko na gałęzi drzewa. Wrócił do domu.

Jest godzina 16. Idzie wódz Jędrek na zbiórkę zuchów, a tu już zdaleka pędzą ku niemu chłopcy i krzyczą: „już umiemy, znaleźliśmy, odczytaliśmy — my zuchy" i któryś już śpiewa:

„... Zuch pływać umie,
Zwierza rozumie,
Czujny ma węch i słuch...

A wódz dumny, że pomysł się mu udał. Głowę zadarł do góry i kroczy na boisko, bo dziś ma się rozegrać okropna wojna między bałwanem śniegowym, a „wojowniczemi kogutami". Nie wiadomo, kto zwycięży. Bałwan ma wprawdzie długi kij-miotłę, ale zuchy zabezpieczyli się w śniegowe kule. Jak się ta wojna skończyła, to opowiem wam innym razem.

P. Greniuk.

Na harcerskim szlaku.

HARCERSKA SZKOŁA INSTRUKTORSKA w Górkach Wielkich wchodzi w stadjum realizacji. Ośrodek Górki Wielkie, który zostaje w dniach najbliższych przejęty przez Harcerstwo, obejmuje ponad 130 hektarów ziemi i sąsiaduje niemal z Buczem. W ośrodku tym mają powstać budynki, w których znajdą pomieszczenie rozmaitego rodzaju kursy instruktorskie. Ma być tam również przeniesiona szkoła wodzów zuchowych z Nierodzimia. Ten największy w Polsce ośrodek harcerski powstaje dzięki staraniom Druha Przewodniczącego.

IMIENINY PANA MARSZAŁKA harcerze warszawscy uczczą w ten sposób, że każda drużyna na ozdobnej karcie wypisze, co w roku ubiegłym zrobiła dobrego. Karty te będą oprawione w specjalną księgę, która — jako dorobek pracy harcerzy dla Polski — złożona zostanie w dniu 19 marca w Belwederze.

HARCERSKA KRONIKA RADJOWA wygłaszana jest co drugi poniedziałek o godz. 18,25 do 18,30 (nie jak dotychczas od 19,25 do 19,30) z Warszawy w następujących terminach: 11 i 25 marca, 8 i 22 kwietnia oraz 6 i 20 maja. Wszystkie środowiska, w których Warszawę źle się słyszy, mogą wysyłać bezpośrednio pojedyncze i zbiorowe prośby do Polskiego Radja o transmitowanie przez lokalne, lub pobliskie rozgłośnie Polskiego Radja kronik harcerskich, wygłaszanych z Warszawy. (N)

NA ŁOTWĘ wyjechała Naczelniczka Harcerek, Druhna Wierzbiańska i Komisarz Międzynarodowy, Dh. Kapiszewski. Wyjazd ich miał na celu ustalenie form współpracy naszych organizacyj. (K)



WIELU STARSZYCH HARCERZY myśli, że wystarczy gadać i opowiadać, a już praca będzie szła. Krośnianie jednak to morowe chłopy, które wiedzą, że najważniejsza rzecz to działać. Mają więc swój klub sportowy, którego hokejowy zespół pobił reprezentację gimnazjum w stosunku 8:0. Dobra robota. A każda dobra robota jest dobra, byle dokonywała się w duchu prawdziwie skautowym, w duchu szlachetnej gry, urabiającej dzielne charaktery.

RADZIWIŁŁÓW uczcił imieniny Wysokiego Protektora Z. H. P., P. Prezydenta R. P. I. Mościckiego uroczystym wieczorem, w którym wzięli udział przed stawiciele władz, społeczeństwa i przyjaciele harcerstwa. (W. K.)

HARC. DRUŻYNY KOLEJOWE (t. zn. drużyny, pozostające pod opieką Rodziny Kolejowej) w Chorągwi krakowskiej, rozwijają się doskonale. W akcji letniej wzięło udział z trych drużyn 519 harcerzy i 181 harcerek. Myślą przewodnią akcji obozowej harc. drużyn kolejowych było dążenie do wyrobienia w młodzieży samowystarczalności gospodarczej. Podobno drużyny kolejowe mają niedługo powstać na terenie całej Polski.

HARCERSKIE KOŁO SZYBOWCOWE na Śląsku pracuje nie na żarty. W ubiegłym roku 37 harcerzy Śląskich uzyskało na kursach w Goleszowie kat. A i 19 kat. B. Wykonali oni w sumie 4203 loty! W roku bieżącym postanowiono przeszkolić możliwie największą liczbę harcerzy w wieku przedpoborowym w szkole szybowcowej w Goleszowie, zaś posiadających już kat. B przeszkolić w Pinczowie na pilotów kat. C. Postanowiono również powiększyć posiadany już przez Koło tabor w szkole, jak i w oddziałach lokalnych. (Kh)

DALEKIE KRESY używają na nartach. Drużyna harcerzy w Rubieżewicach urządziła zawody narciarskie, których celem było zdobycie odznaki P. Z. N. Do biegu stanęła cała drużyna w komplecie w liczbie 18-tu. Bieg udał się wyśmienicie, ale najzabawniejszą rzeczą było, że został on w sposób bardzo wesoły uwieczniony na papierze przez „nadwornego" karykaturzystę drużyny rubieżewieckiej. (M. S.)

HARCERSKIE ZAWODY NARCIARSKIE zorganizowała 2. D. Harcerzy w Stołpcach. Były one zakończeniem kursu narciarskiego. Jak licznie wzięli w nich udział harcerze — niech zaświadczy fotografja. (S. R.)



KRÓTKOFALOWĄ STACJĘ NADAWCZĄ założą na zlocie druhny. Uczęszczają one pilnie na kursy krótkofalowcowe w Zegrzu i Warszawie, przygotowując się intensywnie do uruchomienia stacji na Zlocie. (H)

NIEODŻAŁOWANĄ STRATĘ poniosło harcerstwo w Aleksandrowie Kujawskim przez śmierć działacza i przyjaciela harcerskiego ś. p. Wilhelma Markowskiego. Zmarły odznaczony był przez Naczelnictwo Z. H. P. odznaką wdzięczności.

BŁĘKITNA PIĄTKA ŻEGLARSKA w Pszczynie uroczyście obchodziła 15-lecie odzyskania morza. Urządziła ona łącznie z miejscowemi drużynami „Akademję morską". Na program jej złożyły się: Podniesienie bandery, połączone z odegraniem przez orkiestrę „Hymnu Bałtyku", przemówienie, deklamacje, występ chóru V. Błęk. Druż. Żegl., oraz obrazek sceniczny p. t. „Zew morza". Całość wypadła znakomicie. Publiczność a zwłaszcza młodzież szkolna, rozumiejąc znaczenie morza dla Polski przybyła na akademję bardzo licznie. Kwotę zebraną z wolnych datków przeznaczono na F. O. M. (A. S.)

W SMORGONIACH drużyna harcerzy obchodziła imieniny Prezydenta R. P. uroczystą akademją. Złożył się na nią obfity program. Były tam przemówienia, śpiewy i deklamacje, a wreszcie pogodna sztuka. Licznym gościom akademja bardzo się podobała, a społeczeństwo smorgońskie cieszyło się ze swoich harcerzy, że wystąpili z inicjatywą uczczenia imienin Głowy Państwa. (St. Wilk)

NAJAZD ZUCHÓW NA MYSŁOWICE. W niedzielę 3 marca br. odbył się w Mysłowicach wielki bal zuchów Mysłowickiego Hufca Harcerzy, na który mimo słoty i deszczu przybyło przeszło 300 zuchów, około 200 harcerzy i tyleż rodziców i przyjaciół Harcerstwa. Na program złożyły się: przemówienie powitalne zucha, tańce i pokazy zuchowe. Zabawa zuchów trwała od godz. 15,30—19-tej. Wieczorem odbyła się zabawa harcerska. Impreza udała się pod każdym względem, przynosząc obok zadowolenia tak zuchów jak i Komendy poważną, kilkaset złotych liczącą gotówkę do kasy Hufca. W imprezie tej wzięły udział wszystkie K. P. H. odnośnych gromad wzgl. drużyn harcerzy. (A. P.)



Najmłodsze harcerki w Brzozowie ćwiczą pilnie na nartach, ażeby w przyszłym roku wziąść udział w zawodach narc. „Na Tropie"

Z Polski i ze świata.

Ubiegły okres był tak obfity w wydarzenia, że z dużą trudnością w największym skrócie omówimy najważniejsze.

26 stycznia minął pierwszy rok od daty zawarcia słynnego w świecie paktu o nieagresji między Polską a Niemcami. Z tej okazji prasa obu państw zamieściła szereg artykułów, omawiających dziejowe znaczenie tego układu, który rozpoczął nowy okres w dziejach stosunków polsko-niemieckich. Korespondent „Gazety Polskiej" uzyskał wywiad u kanclerza Niemiec, Adolfa Hitlera. Kanclerz oświadczył m. in.: „Udało się nam przeprowadzić jedną z najbardziej ważkich poprawek historycznych". Poprawką było skorygowanie błędnej opinji, jakoby między obu narodami stale i na zawsze istniał stan wrogi. Musicie zaś wiedzieć, że jeszcze przed rokiem świat cały był mocno przekonany, że przyszłą wojnę sprowadzi z pewnością konflikt polsko-niemiecki. Stąd też wszystkie państwa, prawdziwie troskające się o pokój międzynarodowy, z ogromną radością obserwują pomyślny rozwój stosunków polsko-niemieckich. Widomym znakiem normalnych stosunków sąsiedzkich między Polską a Niemcami, to otwarcie w Berlinie instytutu polsko-niemieckiego. Instytut ma za zadanie dostarczenie elicie niemieckiej objektywnych informacyj z zakresu historji, kultury i polityki polskiej. Trzeba bowiem wiedzieć, że od czasu wielkiej wojny wszystko, co w Niemczech mówiło się o Polsce, było podawane w skrzywionem zwierciadle. Dziś dopiero Niemcy zaczynają poznawać prawdziwą Polskę. Na uroczystem otwarciu tego instytutu wystąpił entuzjastycznie witany przez publiczność nasz znakomity śpiewak Jan Kiepura. Dobrze się dzieje, że na polu kulturalnem panuje między obu narodami takie ożywienie, bo poznanie i szacunek wobec kultury innego narodu jest pierwszym ważnym krokiem w dziedzinie „rozbrojenia". Z tego odcinka należy jeszcze wymienić uroczystość w Dreźnie dla uczczenia pamięci Szopena. Z okazji przypadającej w lutym 125-letniej rocznicy urodzin naszego pierwszego narodowego genjusza muzycznego, miasto Drezno postanowiło wmurować na frontonie domu, gdzie Fryderyk Szopen zamieszkiwał podczas swego pobytu w tem mieście — pamiątkową tablicę. W uroczystości tej ze strony Polski brali udział ambasador Lipski z Berlina, prezydent m. Warszawy Starzyński i in.

Polityka międzynarodowa w Europie stoi obecnie pod znakiem wizyt. W początkach stycznia donosiliśmy o wizycie ministra Lavala w Rzymie. Druga jego podróż skolei była skierowana do Londynu. Porozumienie angielsko-francuskie zostało całkowicie osiągnięte. Najważniejszą względnie najkonkretniejszą sprawą jest propozycja zawarcia konwencji lotniczej między Francją, Anglją, Niemcami, Belgją i Włochami. Ma ona być oparta na zasadzie wzajemnej pomocy. Układ ten jest jedynym z przejawów t. zw. paktomanji. Ponoć od czasu zawarcia pokoju zawarto zgórą 200 paktów wyklinających wojnę i mających służyć pokojowi. W związku z tą propozycją powstaje projekt nowej wizyty — tym razem ministra angielskiego Simona do Berlina celem omówienia szczegółowego propozycyj, wysuniętych przez Francję i Anglję. Min. Simon ma również przybyć do Warszawy, a następnie udać się do Moskwy.

W ostatnich dniach stycznia bawił przez kilka dni w Polsce jeden z czołowych ludzi dzisiejszych Niemiec, Goering, który wziął udział w polowaniu w Białowieży.

W Kownie duży sukces odniosła nasza znakomita śpiewaczka Ewa Turska-Bandrowska. Śpiewała również po polsku. Publiczność zgotowała jej entuzjastyczne przyjęcie. Następnego dnia jednak po koncercie władze litewskie odmówiły pozwolenia na dalsze występy rzekomo z obawy przed awanturami żywiołów nacjonalistycznych.

Sensację w świecie lotniczym wywołała wiadomość o wycofaniu się Polski z przyszłych Challengów. Przyczyną tej decyzji była troska o rozbudowę lotnictwa sportowego i p. w. lotnicze. Challenge bowiem był bardzo kosztowną imprezą i wyrabiał asów, ale nie przyczyniał się do wyszkolenia lotniczego mas, jaknajwiększej ilości pilotów.

Jeśli chodzi o politykę wewnętrzną, to zanotować należy mowę premjera Kozłowskiego, jaką wygłosił dnia 27 lutego na plenarnem posiedzeniu Senatu. Treścią przemówienia był „człowiek gospodarczy" w Polsce, a w szczególności program usunięcia dysproporcji między poziomem życia gospodarczego wsi a miasta. Należy zmniejszyć świadczenia pieniężne wsi, gdyż — jak mówił p. premjer — złotówka na wsi jest inną złotówką niż w mieście. Inną ważną kwestją była zapowiedź nowej pożyczki inwestycyjnej, przeznaczonej wyłącznie na cele inwestycyjne. 50 miljonów złotych mają być przeznaczone na drogi, a 50 miljonów na regulację rzek. Ta ostatnia kwota jest przeznaczona na roboty celem zapobieżenia przyszłych skutków ewent. powodzi.

Z dziedziny gospodarczej należy jeszcze wymienić podpisanie w dniu 27 lutego polsko-brytyjskiego układu handlowego. Jest to najkorzystniejszy traktat handlowy, jaki odtąd zawarliśmy. Reguluje on kwestję zniżek celnych, eksportu rolnego z Polski, kontyngentu etc.

Zakończymy tę litanję wypadków — militarystycznie.

Szef sztabu głównego armji polskiej, gen. Gąsiorowski wyjechał w podróż do Łotwy, Estonji i Finlandji. Wizyta ma na celu nawiązanie ścisłego kontaktu między armjami Polski a państwami bałtyckiemi.

Druga wiadomość jest nie-pokojowa: oto Mussolini wyprawił kilka dywizyj wojska do Somali, jakoby w obawie przed naporem Abisynji. Ta ostatnia zaś oświadcza uroczyście, że nie ma żadnych zaborczych zamiarów wobec terytorjów włoskich. Mussolini jest zbyt wojowniczy.

Łączna prenumerata pism „NA TROPIE" — „SKAUT" — „W KRĘGU WODZÓW" wynosi 10,— zł.

Należność można wpłacać: „NA TROPIE", Katowice, ul. Szafranka, Konto PKO. 305 330.

Prenumerata łączna „Na Tropie", „W Kręgu Wodzów" i „Skauta" w wysokości 10,— zł rocznie nie może być uznana przez „Na Tropie" wstecz, za wyrównaniem jedynie różnicy między dawniej opłaconą, a obecną należnością za trzy pisma.

Łączna prenumerata „Na Tropie", „W kręgu Wodzów" i „Skauta" przyjmowana jest jedynie przy wpłaceniu pełnej kwoty 10,— zł.

NA TROPIE

Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ul. Szafranka. Tel. 322 61. — Prenumerata: roczna 4 zł, za okres I (1. I. — 15. VI.) — 2,30 zł, za okres II (15. VIII. — 31. XII.) — 2 zł. Cena numeru pojedynczego — 30 gr. „NA TROPIE" z dodatkiem „Żeglarz" — 5 zł rocznie. „Na Tropie" z dodatkiem „Na Tropie Zuchów" 5 zł. W braku pisemnego odwołania prenumerata obowiązuje nadal. Konto P. K. O. Katowice, Nr. 305 330.

Komitet Redakcyjny pod kierownictwem M. Kapiszewskiej. Wydawca: Stow. zarejestr. „Na Tropie", Katowice.
Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski.

Odbito w Drukarni Śląskiej, Sp. z o. o., Katowice, ul. Batorego 2.